

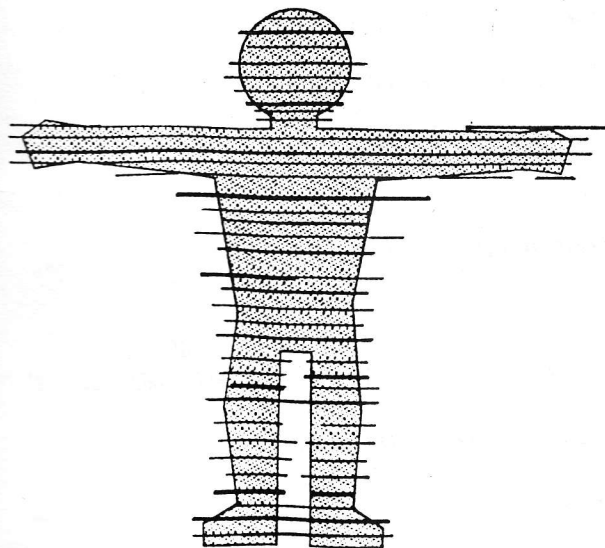
11

NR JEDENASTY

SZTUKA

OSOBOWA

PROGRAMOWE PISMO Instytutu Sztuki Osobowej



ZAWARTOŚĆ NUMERU

- 4 Katarzyna Chudobińska (grafika) - "OD POZĄTKU",
- "OD KONCA"
- 6 Słowa Ewangelii - List do Rzymian św. Pawła 5,2-5
- 7 PROGRAM
PROGRAM
PROGRAM
- 8 Bruno Aleksander (poezja) - "PODARUNKI OD DANEGO
CZASU",
- "--- ",
- "--- ",
- "--- "
- 14 Przemysław Pilariski (poezja) - "DROGA"
"ZABÓJSTWO"
"EUCHARYSTIA"
"JESTESTWO"
- 16 Ewa Ferenc (proza) - "PIERWSZA ROŚLINKA NOWEGO OGRODU"
- 28 Ryszard Marek Kędzierski (poezja) - ---
- 29 NOTA AUTORSKA

SZTUKA

OSOBOWA

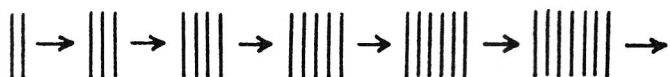
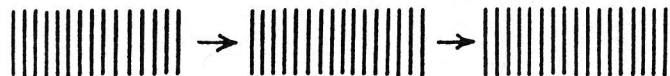
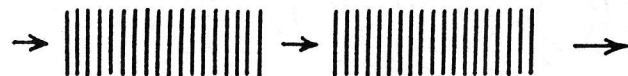
PROGRAMOWE PISMO

GEST - LITERACKA SZTUKA ZNAKU - ESEJ

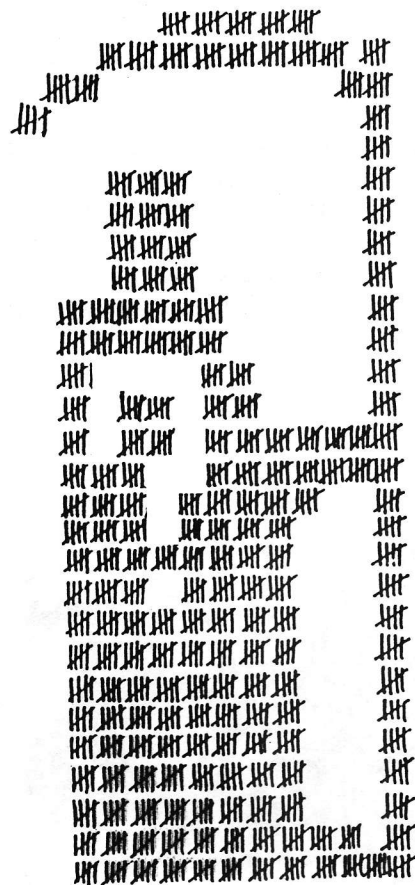
WROCŁAW - 1992 ROK II

± MIESIĘCZNIK

Instytut Sztuki Osobowej



Katarzyna Chudobińska - "OD POZĄTKU"



Katarzyna Chudobińska - "OD KONCA"

"...chlubimy się, będąc pełni nadziei oglądania chwały Bożej. Ale nie tylko z tego powodu. Chlubimy się też pośród udręk, wiedząc, że udręka staje się powodem wytrwałości. Wytrwałość daje początek stałości, a stałość nadziei. Nadzieja zaś nie doznaje zawodu, ponieważ miłość, jaką nas Bóg umiłował, napelnia nasze serca..."

List do Rzymian 5,2-5



PROGRAM Istotną cechą ostatecznego jednak rozwoju form PROGRAM w historii sztuki nie jest porzucenie przedmiotu jak w konceptualizmie, lecz akceptacja przedmiotu i osoby, lub odmówienie rzeczy, wolna zgoda na jej brak. Mało tego bowiem człowiek staje się w Sztuce Osobową w kontekście otoczenia i osoby, pełnym Twórcą. Sztuka ta nie jest tylko estetyką, jest bowiem w sytuacji etyki. Dosięga sedna racjonalnego rozeznania i zaufania, dosadności empirycznego złożenia bytu; Prawdy. Ontologicznej i Religii.

Osoba wobec absolutnych metafizycznych uniesprzeczeń, dopełnia i konstytuuje się tylko zaledwie pochodną kategorią piękną, w istocie światła spełnień Prawdy. Sprawa samej twórczości literackiej nie tkwi w przemijalności i kruchości rzeczy i spraw martwych, bowiem jest międzyosobowo kreowana w przestrzeni egzystencjalnej. W trudnym dla Poetów "bycie chleba". Ażeby zainicjować wydarzenie Sztuki Osobowej wystarczą dwie osoby; w kontekście wiary, i tej sztuki. W ten sposób "być" jest wobec oporu świata kategorią nie tyle co samorzutną, ale obecności. - Zagrożonej, ale pewnej jak fakt życia. Do pokonania nawet w pewnym zawieszeniu "bytu chleba", także w dostępnej człowiekowi miary "mieć". I niej samej obecności wynikłej z innego otoczenia, którego w większości jeszcze nie stać na tak mało, aby mieć totalnie, ale nie totalitarnie wszystko. W sferze ducha. To nie jest ideologia, ale idea czasu, każdego czasu, wobec czasu wieczności. A tu nie ma miejsca dla utopii.

PODARUNKI OD DANEGO CZASU

Zwój
 nabrzmiałych żył
 okazał się pętem
 nie do zerwania
 Kat przyniósł
 garnek trzewi.
 mówiąc że
 nadaje się na zupe.
 Cesarz Klaudiusz
 za zmianę polityki
 otrzymał
 kilka trujących
 grzybów.
 Giordano Bruno
 w nagrodę
 za wolne myśli
 otrzymał
 "hiszpańskie buty".
 Joanna Darc
 za obronę wolności
 otrzymała suknię
 i wiązkę chrustu.
 Kilka innych
 wolnomyslicieli
 dostąpiło zaszczytu

stanięcia przed
 plutonem egzekucyjnym.
 Ciała ich
 pochowano imiona zaś wyrzucono
 na śmietnik historii.

A wszystko to
 działo się
 w imię minionego czasu.

Zasnąłem w poezji,
 przebudziłem się w chaosie słów.
 Płynąłem,
 zebrałem,
 płakałem kawałkami
 pstrych,
 czarnych,
 i białych znaków
 - czyli małych krzykliwych liter.
 Szukałem znaczenia słów:
 Ja
 Ty
 On.
 Szukałem brzmienia słów:

—
dzień

noc

trwać

życiem.

Płynąłem,

zebrałem,

płakałem.

Okrutna pustość

dźwięku wynosiła mnie

w okrucinach czasu.

Okrutna pustość dźwięku

wynosiła mnie

w pyłogenne przestrzenie,

żał i rozpacz ich treści.

Pytałem:

- Dlaczego pisze,

profanuję pieśni?

Dlaczego tworzę,

zniesztalam słowa?

Dlaczego szukam

obcości w fotografii?

I wiesz,

sam nie wiem...

A może Ty,

może właśnie Ty mi powiesz.

Zasnąłem w poezji,

przebudziłem się w chaosie słów...

—

Stałem w objęciach nagiej skały.

Wpatrzony

w smolistość odmetów,

słoną pierzastość fal,

żałobne łkanie oceanu,

czułem się jak ptak.

tak, jak ptak,

jak ptak

podejmujący decyzję odlotu.

Dokąd?

Pewnie do miejsca narodzin,

do domu.

Lecz gdzie jest ON,

ten dom ?

Czułem się jak ptak

mający

po raz pierwszy

rozpostrzeć skrzydła,

i wzbicić się

w swym istnieniu

ponad

trwożliwość wzgórz,

nienasycenie przestrzeni,

rozwekłość rozstajów,

i wystrzelić w onym locie

w jaskrawość nieznanego

—
 lecz,
 jakże znanego dnia,
 i zerwać opętanie
 nakazujące wieść żywot
 istoty
 na wskroś pocziwej.
 Czułem się jak ptak...

 Powróciłem do miasta.
 Przywitał mnie
 śmiech dzwonów
 płynący zrzedzającymi ulicami.
 W potoku
 cicho skradających się ciał
 szukałem swojego "wczoraj".
 Szukałem myśli,
 słów,
 przyjaciół.
 Szukałem wspomnień,
 dziecięcych marzeń,
 zagubionego czasu.
 Błądziłem
 pośród bezwładnej

—
 mozaiki chodników.
 Mijałem twarze:
 obce-zarazem znajome
 wrogie-zarazem przyjazne.
 Mijałem twarze,
 witałem się z nimi,
 rozmawiałem,
 uśmiechałem do nich,
 i odchodziłem.
 Przy tym
 nie czułem nic.
 Rozpacz
 ból
 radość
 czy złość
 były mi obce.
 Wróciłem do miasta.
 Szukałem swojego wczoraj.
 Lecz Go już nie było,
 Ono umarło
 gdy ja powróciłem do miasta.

RHODES 22.09.1991r; Bruno Aleksander

DROGA

ZABÓJSTWO

E
W
a
k
u
l
a
c
y
j
n
D r o g a ----- J e z u s
n
z
c
e
i
w
d
e
z
r
p

Z
a
b
Kain
bl
l
a

02.03.1992 r.

EUCHARYSTIA

Tyś
Eucharystia
e Ch r y s t

JESTESTWO

s
Wskazuje
u
Sumieniu
z
Zbawienie
e
W ewangelicznym
J
Jestestwie



PIERWSZA ROŚLINKA NOWEGO OGRODU

Wreszcie nadszedł ten dzień upragniony. - Niedziela Palmowa. Wszystkimi uliczkami Asyżu śpieszyli do katedry świętego Rufina ludzie odświętnie ubrani. Na placu przed kościołem powściągliwiej niż zwykle wymieniali ukłony i pełni nabożnego skupienia wchodzili w aurę świątyni, mroczną, brunatno-złotą, jakby kamienie, z których wzniesiono ten gmach, zwykle okrucy umbryjskiej ziemi, tu ściemniały nasycone misterium ludzkiej duszy. Tylko ołtarz jaśniał dziesiątkami jarzących się świec i ku niemu, jak ku nadziei, kierowały się oczy wiernych.

Klara tego dnia ubrała się w suknię, której jedwabne fałdy mieniły się perłowym błękitem, a naszyte na staniku rubiny rzuciły purpurowe blaski. Ich lśnienia zdawały się jeszcze gorętsze wobec niezwyklej bieli twarzy dziewczyny. Twarz ta była tak uduchowiona, iż mogła wydawać się nierzeczywista.

Weszła do katedry razem z innymi asyjskimi dziewczętami, szlachciankami. A kiedy wszystkie pośpieszyły do ołtarza, by wziąć palmę, ona, zauroczona bijącą stamtąd światłością, złotymi smugami kładącą się na błyszczącej jak tafla wody kamiennej posadzce, nie podeszła tam w chwili, kiedy należało to uczynić. Wszystkie panienki wzięły palmy i zasiadły w pierwszej ławie. Nad jasnymi sukienkami wyrósł równy

rząd palmowych liści. Tylko Klara miała puste ręce. Nieśmiałość, jakiś wstyd nie pozwoliły jej wstać, na oczach wszystkich zgromadzonych w kościele podejść do ołtarza i wziąć palmę. Trwała więc tak, mocno splótnięszy ręce, które nagle wydały się jej zbyt duże, ciężkie i sztywne.

Rozpoczęła się msza. Biskup Asyżu wyszedł z asystą. Idąc do ołtarza, ogarnął wzrokiem lud zgromadzony w objęciu brunatnych ścian. Powiódł spojrzeniem po białym szeregu dziewcząt i dłużej zatrzymał oczy na Klarze. Jej postać strzelista, jasna, skupiona wydała mu się światłem odrębnym, zamkniętym, nieprzeniknionym a jednak promieniującym. Poczul lekkie ukłucie w sercu, bo nagle pojął, że ów niewidzialny świat Klary jest jego tęsknotą, jest tym, do czego przez całe swoje życie w wielkim trudzie dąży.

- Dlaczego ona nie ma palmy, skoro wszystkie mają? - spytał sam siebie w duchu.

Zszedł ze stopni ołtarza, zbliżył się do Klary i podał jej palmę. W kościele rozległ się szmer zdumienia. Do końca tego dnia Klara była zamyślona. W południe, gdy słońce mocno przygrzewało, usiadła na kamiennej ławce w ogrodzie. Wsluchiwała się w śpiew ptaków i brzęczenie pszczół, przypatrywała się nabrzmiałym zielonym pąkom na krzewie róży. Czuła jak wzbiera w niej radość, jak wypełnia ją cała, jak rozkosznym drżeniem porusza jej duszę spragnioną tego, co niepojęte, co niedościgłe, niedosiężne dla myśli, woli i uczuć a przecież wszystko ogarniające. Słońce muskało jej twarz,

lekki wiatr obejmował ją oddechem pachnącym sokami natury. A ona na kamiennej ławce trwała jak żywe ucieleśnienie tęsknoty, która nigdy się nie spełnia, dążeń, które wiedzą za umykającym celem i dlatego same dla siebie są celem, głodu, który nie zabija, ale daje życie.

Po południu przyszła Bona de Guelfuzio. Policzki miała zarumienione, oczy błyszczące.

- Całe miasto mówi o tobie, palmie i biskupie! - powiedziała głosem o ton wyższym niż zwykle.

Klara uśmiechnęła się. - Może to naprawdę ważne? Może to coś znaczyć? - rzekła z namysłem.

- A coż może znaczyć ponad to, że pan biskup tak bardzo troszczący się o porządek w kościele, że dba o wiernych? - spytała Bona uważnie przyglądając się koleżance.

Klara jednak milczała.

Wieczorem, gdy słońce skłaniało się za horyzont, a niebo przybrało barwy purpurowe, fioletowe i złociste, nałożyła wszystkie swoje klejnoty i szeroko otworzywszy okiennice, uklękła do modlitwy. Rzeźwe powietrze wionęło od gór i wypełniało komnatę. Barwy nieba pokryły wszystkie sprzęty. Było cicho, tajemniczo, uroczyście. Klara czuła, jak od nieba o tej porze między dniem a nocą, między jasnością a ciemnościami, płyną dobre, twórcze siły przenikające jej duszę i ciało, unoszące ku nieznanym światom, wielkim i wspaniałym ponad wszelkie wyobrażenie, gdzie przestrzeń nie ma granic a piękno i prawda są tym samym. Chwilami jednak powracała

na ziemię, bo cielesność tego żądała; kolczyki kluiły w uszy. Nie przywykła do nich. A kiedy uniosła dłoń, by je poprawić, czuła na palcach drażniący ucisk pierścieni. Najchętniej zrzuciłaby to wszystko natychmiast, cisnęła w kąt te kawałki bezużytecznego metalu. Ale postanowiła wytrwać jeszcze trochę, ostatni już raz w tym świecie dziwnych konwencji, gdzie tak wysoko ceni się to, co zbyteczne.

Gdzieś w podwórzu głośno zapiał kogut. Jego głos poderwał Klarę na nogi.

- Nadszedł mój czas - pomyślała wstając z klęczek. Chwyliła chustę wiszącą na poręczu krzesła, zarzuciła ją na plecy i cicho otworzyła drzwi izby. Przez chwilę nasłuchiwała odgłosów domu. Było cicho. Wszyscy spali. Na palcach zbiegła schodami. Miękkie ciężki głuzyły stąpanie. Postanowiła nie wychodzić główną bramą, gdyż jej skrzydło otwierane albo zamykane, zgrzytało. Na tyłach pałacu, za ogrodem, znajdowało się inne wyjście. Nie używano go od dawna, pewnie od czasu wojny z Perugią. Wówczas to zawalono owo przejście połamaną kamienną kolumną i ciężkimi drewnianymi belkami. Teraz wszystko to zarosło krzewem jeżyn.

Klara, stanawszy w ogrodzie, głęboko odetchnęła rześkim powietrzem wiosennej nocy i wzrokiem ogarnęła okna pałacu, by upewnić się, czy wszystkie są zasłonięte okiennicami. Z zapalczywością ruszyła na przeszkodę pietrzącą się przed furta. Odrzuciła pędy jeżyn i kamieni. Wytrwale i gorliwie przesuwiała belki. Obejmowała je rękoma czarnymi od pleśni i zgniliżny,

wpijała palce w przegniłą korę. Połamała paznokcie, otarła skórę, ale nie czuła bólu. W zapamiętaniu popychała kłody, przemieszczała je w wilgotnej glebie. Największą trudność stanowiła kolumna. Klara wsparła się plecami o mur i natężywszy mięśnie, odpychała ją nogami. I sama zdziwiła się swojej sile, kiedy kamienna bryła drgnęła. Kilkakroć z najwyższą mocą napierała na kolumnę. Ciałem nie nawykłym do ciężkiego trudu teraz wykonywała pracę drwala, kamieniarza i tragarza. Mimo to nie czuła zmęczenia, nie ustawała. Krew w niej szumiała, serce łomotało, pot cienką strużką spływał po szyi. I chociaż w ten sposób dokładnie, dobitnie zaznawała swojej fizyczności, to jednocześnie wydawało się jej, że ta fizyczność nie istnieje, że roztopia się rozkosznie w miękkiej, cieplej, bezpiecznej aurze otulającej jej ciało. Klara jednak nie miała jednak czasu myśleć. Musiała szybko działać. W każdej chwili mogła skrzypnąć otwierana okiennica, mogło błysnąć światło łuczywa. Wszak wciąż jeszcze znajdowała się po tej stronie muru, którą pragnęła jak najszybciej opuścić.

W końcu kolumna została odepchnięta. Prędko, jak tylko to było możliwe, odgarnęła ziemię spod okutych sztabami, przedziewiałych żelaznych drzwi i wczepiwszy palce w szparę między deskami, mocno pociągnęła skrzydło ku sobie. Dźwierza drgnęły. Otwór przejścia wciąż powiększał się. Wreszcie stał się wystarczająco duży. Natychmiast

łona rodzinnego domu wyszła na świat, by żyć samodzielnie, wezwana niepojętą siłą, której bardzo pragnęła. Stanąwszy na twardym bruku uliczki, odetchnęła głęboko i ruszyła w stronę bramy miejskiej. Biegła lekko, jakby unoszona uskrzydłającą siłą nadziei, wizją bliskości spełnienia marzeń i tych tęsknot, które tkwiły w niej mocno aż do bólu, a których nie potrafiła określić w żaden inny sposób jak tylko istnieniem Boga. Asyż spał snem głębokim, spokojnym pod wielkim sklepieniem aksamitnego nieba. Klara przemknęła uliczkami miasta, prawie przefrunęła nad kamieniami bruku. Minąwszy bramę miejską, zatrzymała się na chwilę, by odetchnąć. Drżąc od biegu i emocji oparła się plecami o mur i usiłowała ogarnąć wzrokiem widok rozpościerający się w dolinie. Myślała, że dojrzy światła Porcjunkuli, gdzie czekali Franciszkowi bracia. Ale wszędzie panowały nieprzeniknione ciemności. Musiała przez nie przebrnąć. Ruszyła ścieżką do najświętszej Maryi. Drożka była kamienista. Klara знаła tu każdą skałę, każdy krzak ligustru i jeżyny. Więc teraz, mimo ciemności, szła pewnie, niemal płynęła w powietrzu gestym od wiosennych woni rodzącego się życia. Długie włosy dziewczyny falowały przy każdym kroku, a kiedy przedzierała się przez zarośla, pukiel wplątał się w gałązkę dzikiej oliwki. Wyszarpnęła włosy. Nie zatrzymując się w biegu, zdjęła z ramion chustę i zarzuciła ją na głowę.

Porcjunkuli była już blisko. Wtem wydawało się jej, że gdzieś w dole błysnęło światło. Serce podskoczyło w

niej z radości, ale zaraz inne uczucia ogarnęły jej wnętrze. Lęk przed nowym, nie znanym wypełnił z ciemnych głębin natury. To uczucie które drzemie w każdej ludzkiej istocie. Przeszedł ją lodowaty dreszcz. Zatrzymała się na ścieżce. Noc nieprzenikniona otaczała ją zewsząd. Klara nie wiedziała, czy owo nikielne światło w dali nie było tylko złudzeniem.

- Czy dobrze czynię? - pomyślała pełna zwątpienia i po raz pierwszy trwożnie rozglądała się wokół.

Nie dostrzegłszy nic w gęstej czerni nocy, zląkła się jeszcze bardziej. Bała się swojej samotności. Drżała z lęku nagle uświadomiwszy sobie, że porzuca pewność bytowania asyjskiej madonny, by żyć w niepewności, nieustannych trudnych wyborach, jakich przedtem nikt nie dokonywał, w poczuciu, że zawiódła najbliższych, że odtąd nic nie będzie łatwe i proste tak jak było. Ale już nie mogła zawrócić. Wiedziała, że cokolwiek teraz uczyni, jej serce nie zazna spokoju.

Na chwilę przykryła oczy. Ciemność pod jej powiekami niczym nie różniła się od tej wokół. Zebrała siły woli, by pokonać lęk.

- Boże... Boże... - szepnęła.

Lęk minął. Rozpłynął się jak mgła w słońcu, wsiąknął w głębinę świadomości, a może ziemi, na której Klara stała mocnymi, pewnymi nogami istoty zdrowej, vitalnej i zdeterminowanej. Uniosła powieki i wpila wzrok w miejsce, gdzie błyszczały światła. Teraz widziała je wyraźniej. Ruszała w ich stronę. Szła coraz prędzej, znów prawie biegła. Potykała się, ale nie upadła. Światło

prowadziło ją jak niewidzialna siła. Im była bliżej, tym stawało się wyrazistrze. Zdyszana, spocona stanęła na skraju łąki. Pośrodku jaśniał zarys Porcjunkuli. Drzwi były szeroko otwarte. Bracia Franciszkowi zasiedli we wnętrzu i u wejścia do kościoła. Trzymali zapalone pochodnie. Złocisty blask ciepła poświaty obejmował twarze mężczyzn, dawał im wyraz łagodności i zadumy. Kiedy tak stojąc na brzegu łąki patrzyła na nich, wydali się jej niezwykle piękni i szlachetni.

Otrzeptała suknie, przetarła twarz, poprawiła chustę i podeszła do braci. Wstali. Skłonili się jej. Otoczył ją wieniec płonących pochodni trzymających we wzniesionych rękach. Cicho trzaskał ogień, gdzieś w krzewach śpiewał nocny ptak.

- Jesteś. Niech Bóg będzie pochwalony - powiedział Franciszek.

Ujął Klarę za rękę i utkwili spojrzenie w jej twarzy gorejącej od blasku pochodni, a może od tego żaru, który rozpalał jej serce. Stali tak przez chwilę, wpatrzeni w siebie, dwoje ludzi wielkich i prawdziwych, bo poszukujących prawdy. Bracia zaczęli śpiewać. Ich głosy wnikały w czern nocy i zlały się w jedną pieśń z dzwoniącymi trelami ptaka, z potrzaskiwaniem ognia i dalekim szczekaniem psa.

Powoli zbliżali się ku ołtarzowi. Wszyscy uklekli. Wciąż śpiewając skupili spojrzenia i myśli na krucyfiksie, małym, skromnym a rzucającym cień na całą ścianę. Ten cień drżał i falował wraz z poruszeniami płomieni kaganków.

Franciszek wstał. Zaległa cisza. Wtedy rzekł:

- Oto siostra nasza. Pierwsza roślina nowego ogrodu. Klaro, czy chcesz w pokorze i ubóstwie wielbić Boga?

- Pragnę tego - powiedziała, a jej głos nasycony był wzruszeniem. Zaczęła powoli zsuwać pierścienie z palców. Zdejmowała je i kładła na ołtarzu, jeden po drugim, duże, połyskujące szlifami szlachetnych kamieni. Odpięła łańcuch srebrny z wisiosem w kształcie kwiatu i sznur pereł krągłych jak ziarna grochu. Dłużej trzymała ręce przy uszach, by poradzić sobie z kolczykami. A kiedy już to wszystko leżało na kamiennej mensie błyszcząc w świetle kaganków i pochodni, rzuciła na stopnie ołtarza muslinową chustę, suknię z perłowego jedwabiu i trzewiki safianowe ozdobione złotymi kłamrami. Przez chwilę stała bosa, w koszuli białej, długiej, okryta falą jasnych włosów spadających bujnymi puklami aż do kolan. Jeden z braci podał jej wór, taki, jakimi wszyscy wokół niej byli odziani. Uniosła ręce i przez głowę widziała tę nędzną suknię, szorstką, sztywną, burą jak brudny śnieg, nieudolnie połatana.

- To mój ślubny strój - pomyślała.

I w jednej chwili przed oczyma jej pamięci przemknął widok pól zoranych wczesną wiosną, gdy ziemia przybiera barwy płowe i brunatne. Poczula zapach nasyconej wilgocią marcowej gleby. To była też woń jej nowego stroju, zgrzebnej owczej wełny.

Z dawnego przepychu postaci dziewczyny zostały jeszcze włosy. Ktoś podał jej wielkie nożyce do strzyżenia owiec. Z trudem utrzymała je w ręce. Ujęła

pukiel. Rozległ się szczęk żelaza. Złocisty zwój cicho osunął się na kamienną posadzkę i miękko ułożył przy nogach Klary. śpiew braci, którzy rozpoczęli nową pieśń może po to, by ukryć swoje wielkie wzruszenie, pochłoniął dalsze odgłosy nożyc. Włosy spływały złociście i słały się na stopniach ołtarza. Jeszcze nigdy Porcjunkula nie obejmowała swoimi murami takiego bogactwa.

A kiedy ostatnie jedwabiste pasmo spadło na ziemię, Klara wysoko uniosła głowę nagle tak lekką, jakby zdjęto zeń obwód żelazny. Dziwnie czuła się z tą lekkością. Były w tym doznania i wstyd obnażenia, i radośna, upajająca wolność, i szczęście wypływające z dawania, z ofiary. Potrząsnęła krótką szczecinią ledwie przykrywającą skronie i zaczerwieniła się. Franciszek podał jej chustę. Okryła głowę. Ukłękła.

- Czy przyrzekasz Bogu żyć w ubóstwie? - spytał Franciszek, a głos jego, choć łagodny, pełen był mocy.

- Przyrzekam.

Płomień pochodni oświetlającej postać dziewczyny strzelił snopem iskier.

- Czy przyrzekasz pokorę?

- Przyrzekam.

- Czy przyrzekasz posłuszeństwo?

- Przyrzekam i to - powiedziała i niżej pochyliła czoło w aureoli złocistych kosmyków wysuwających się spod chusty.

Franciszek podszedł, uniósł swoją wąską dłoń nad postacią klęczącej i zakreślił szeroki znak krzyża.

Cień jego ręki przebiegł po kamiennych ścianach kościoła i rozplynał się w jasności ołtarza. Później błogosławił każdy z braci, a Klara trwała zgięta w pół, omdlewająca z wdzięczności, słaniająca się w uniesieniu duszy, w zapamiętaniu szczęśliwym i tak wzniosłym, jakby ciało już nie istniało, jakby dla niej ziemia już przeminęła. Wkrótce jednak kamienne płyty wpijające się w kolana przywrócili Klarze świadomość materialnych podstaw wieczności. Wstała powoli. Ktoś wsparł ją ramieniem.

Wyszli z kościoła. Na dworze pachniało trawą, fiołkami i wilgotną glebą. Gwiazdy mrugały dziwnie, porozumiewawczo, jakby niebo było wielką twarzą, wszechobejmującym obliczem, które teraz pragnie okazać swoją pogodną aprobatę.

Ruszyli gromadnie do kościoła świętego Pawła./.../

Ewa Ferenc

RYSZARD MAREK KĘDZIERSKI_____

być ptakiem

ciągle myśle

gdzieś

nie ma czasu

NOTA AUTORSKA

Katarzyna Chudobińska

(1963) Autorka obu prac na stronie 4 i 5. Nie pierwsze w naszym piśmie.

Bruno Aleksander

(1964) Mieszka w Zielonej Górze, choć zmieniał kilkakrotnie miejsce zamieszkania. Posiada średnie wykształcenie. Przez trzy i pół roku przebywał w Grecji. Prócz pisania wierszy zajmuje się fotografią - portrety w różnych technikach; i plastycznymi formami przestrzennymi. Pracuje jako sprzedawca w barze. Autor nie udostępnił dotąd danych o debiucie.

Przemysław Pilariski

(1973) Mieszka w Poraju, w woj. częstochowskim. Debiutował w SzO w nr 8. Wiersze pochodzą z nadesłanego poprzednio zestawu wierszy. Oczekuje następnej porcji.

Ewa Ferenc

Prozaik i poetka. Mieszka w Zielonej Górze. Prezentowany tekst jest fragmentem powieści przygotowywanej do druku, może dlatego jeszcze niedoskonalej. Ale na zamówienie sióstr Klarysek które pragną uczcić rocznicę 800-lecia urodzin św. Klary.

Ryszard Marek Kędziński

(1957) Jesień. Nie, nie jestem jeszcze w podeszłym wieku,

lecz taka jest aktualna pora roku. Ach, gdybym mógł posłuchać Vivaldiego. Wyrażam wątpliwość, ale przecież posiadam taką płytę. Jednak odwykłem od słuchania muzyki. Nie przez brak zainteresowania lecz brak odporności. ... Kiedyś chwaliłem się myśla, nie znając niebezpieczeństw współczesnej techniki, gdyż ona powoduje zaciemnienie mózgu, że człowiek nie doświadcza nawet w nocy na pustkowiu absolutnej ciszy. Lecz tęskni prawdziwie do niej, do spokoju, do wytchnienia... Posłucham jednak muzyki.

Zakup taniej drukarki igłowej okazał się konieczny, skład i przygotowanie do druku dokonuje się zatem zupełnie w redakcji. Obniżenie jakości?...Ależ co z tego, tak na prawdę myślę, że jest to nie wiele istotne. Ważna jest możliwość i wykonanie czynności jak najbardziej w skupieniu, aby wiedzieć że ten przedmiot jest tym przedmiotem tak funkcjonującym i tak podległym człowiekowi w sprzężeniu zamysłu konstrukcji, działania i efektu by wykonać możliwie dobrze pracę. Możliwie najprawdziwiej. Choć dokładność nie wynika zupełnie ze stopnia zaangażowania, ale wolności...A narzędzia, komputery niech służą podległe człowiekowi, ograniczone, bez zbyt skomplikowanych "dosów", które same wystarczą i programów niedoskonałych a obszernych w kilobajty i stąd bardzo drogich. I niech nami nie rządzą. Choć te małe.

Rmk

31 _____ SZTUKA OSOBOWA -+miesięcznik _____

Wszelkie prawa zastrzega: Sztuka Osobowa
 Autorzy numeru jedenastego: Katarzyna Chudobińska
 Bruno Aleksander
 Przemysław Pilariski
 Ewa Ferenc

ADRES REDAKCJI:
 SZTUKA OSOBOWA
 ul. Złocieniowa 3
 51-251 WROCŁAW

Redaktor programu:
 Ryszard Marek Kędzierski

Wiedzieć, że wiele wydarzeń jest sterowanych przez ludzi, a Pan Bóg jedynie nad całością czuwa, chociaż to co się zdarza zawiera wszelkie prawdopodobieństwo Zła i Dobra.
 PRENUMERATA za zaliczeniem poczt., po poinform. redakcji.
 - zwykła 7.400 zł/egz. (0,5%) 4 kolejne nr kosztują 29.600 zł + 6.000 zł opl. poczt. = 35.600 zł.
 - autorska 29.600 zł/egz. /2%/
 UWAGA REDAKCJI: SzO przeprasza Czytelników przed możliwością pojawienia się niewielkich ~~nie~~ nadzieje błędów biometrycznych w tekście.

Redakcja nie zwraca materiałów przyjętych do druku.
 Stanowią archiwum SzO.

NAKLAD = 20+5 egz.

płaca autorska za nr 11
 = 3.240 zł